

Sztalugi

W moim przypadku do śmierci klinicznej doszło na skutek powikłanej ciąży. 8 stycznia 1989 r. ok. 22-jej dostałam silnego krwotoku, choć nie towarzyszyły temu bóle porodowe. Zrobiło mi się słabo i bardzo zimno. Przeraziłam się, że to koniec życia.

Wezwana karetka przyjechała szybko i zabrała mnie do szpitala wprost na salę operacyjną, gdzie czekali już lekarze. Zostałam podłączona do aparatury; anestezjolog odczytywał dane. Poczułam, że się duszę. Usilnie próbowałam złapać oddech. Usłyszałam słowa lekarza: *Tracę kontakt z pacjentką, nie wyczuwam tętna, trzeba ratować dziecko...* Głosy oddalały się, a obraz zlewał się w plamy.

Nagle znów znalazłam się na sali operacyjnej. Czułam się dobrze. Ujrzałam lekarzy krzątających się wokół jakiegoś ciała. Przybliżyłam się do stołu operacyjnego. To byłam ja. Odczułam wspólność tego ciała i siebie samej. Zaczęłam szukać logicznego wyjaśnienia, mimo zaszokowania tym rozdzieleniem. Tam, na stole, leżałam jak kłoda... A przecież jednocześnie byłam tu – zdrowa, ładna, mogłam się wznosić. Czyżby cudowne uzdrowienie?

Podpłynęłam do okna. Na dworze było ciemno. Poczułam ciepło kaloryfera. Za wszelką cenę chciałam zwrócić na siebie uwagę lekarzy. Wpadłam w panikę. Zaczęłam krzyczeć, żeby nic mi nie robili, gdyż jestem zdrowa. Ale oni nie reagowali, nie dostrzegali mnie. Próby interwencji wyczerpały mnie. Wzniosłam się wyżej i tkwiłam w bezruchu.

Energia powoli powracała. Byłam przekonana, że nadal jestem żywą istotą. Miałam przecież takie same cechy jak za życia; moje zmysły – wzrok, węch, możliwość poruszania się – działały normalnie. Nie odczuwałam tylko bólu ciała ani ciężaru. Zaniepokojona tym niezrozumiałym zjawiskiem zaczęłam się bardzo bać. Byłam już *inna*, bo mnie nikt nie dostrzegał. Dlaczego? Przecież żyję! Co mogło się stać?

Dotykałam różnych przedmiotów. Znowu *podpłynęłam* do okna. Postanowiłam poszukać kontaktu z ludźmi na zewnątrz, wypłynęłam oknem. Unosiłam się nad ulicznymi latarniami, kierując się w stronę osiedla.

Minęłam przejeżdżającego na rowerze mężczyznę. Spostrzegłam chłopaka i dziewczynę. Zbliżyłam się do nich, patrzyłam w oczy. Myślałam, iż zbesztają mnie za to, że im przeszkadzam. Obeszłam ich wokoło, ale nadal nie reagowali. Chłopak przytulił dziewczynę i rozstali się. Krzyknęłam do nich: *Czy mnie nie widzicie?!*

Zdałam sobie sprawę, że między mną a rzeczywistością jest jakaś bariera. Na dobre zaczęłam się denerwować.

Usłyszałam głosy niesfornej grupy młodzieży. Szybko znalazłam się obok. Stałam im na drodze, pewna że wpadną na mnie. A oni **przeszli przede mną.** Tak po prostu, jakby mnie nie było. Poczułam się zagrożona.

Nagle znalazłam się na stacji Warszawskiej Kolei Dojazdowej w Pruszkowie. Spojrzałam na peronowy zegar: była 1²⁰ w nocy. Uświadomiłam sobie, że kolejki o tej porze już nie jeżdżą. Postanowiłam wrócić do ciała na sali.

Tu i ówdzie widziałam jeszcze światła w oknach. Pomyślałam: *To jeszcze jedna szansa!* **Zapukałam do jakiegoś okna na piętrze. Podeszła młoda dziewczyna i wyjrzała.** Wślizgnęłam się do środka i stanęłam przed nią. Wtedy do pokoju weszła matka tej dziewczyny. Żadna z nich nie zwróciła na mnie uwagi.

Zrozpaczona powróciłam na salę operacyjną. Próbowałam nawiązać kontakt z moim ciałem, którego już nikt nie dotykał. Niestety, nie reagowało. Gdybym potrafiła, weszłabym do niego, połączyła się w jedność. Poczułam się jak w akwarium, zbudowanym ze specjalnych lusterek. **Ja mogłam obserwować świat na zewnątrz, natomiast ludzie z zewnątrz mnie nie widzieli.**

Wówczas dostrzegłam świetlisty, lśniący białą promień. Nie parzył i nie raził. Spływał na mnie z góry. Wrażenie było niesamowite. Jakby mnie przyzywał: *Podążaj za mną, a ja znajdę Ci drogę wyjścia.* Skierowałam się w jego stronę.

Szłam ku *szczytowi* tego promienia jak zahipnotyzowana. Poczułam się bezpieczna. Ten promień zdjął ze mnie strach, otoczył ciepłem. To było jak świadoma energia.

Zbliżyłam się do punktu, który widziałam w oddali. Gdy osiągnęłam szczyt, wyłoniła się cudowna kraina. Harmonia barw tak wyrazistych, a jednocześnie niemal przezroczystych, że nie da się tego opisać. Nie było koloru czarnego, brązowego ani szarego. Nie dostrzegłam

ani jednego cienia. Zbliżając się do wrót tej krainy stąpałam po łydki w jakiejś „materii”, przypominającej krystalicznie czystą wodę. Im byłam bliżej, tym jej poziom bardziej opadał, aż do kostek. Widok ten tak mnie oczarował, że aż krzyknęłam z emocji: – *Boże, jakie śliczne, muszę to namalować.* Nie mogłam oderwać oczu od tego, co ujrzałam. Zafascynowana chęcią malowania zapragnęłam powrócić do normalnej rzeczywistości.

Trafiłam na salę operacyjną. Teraz widziałam ją nieco wyżej ode mnie, z pewnej odległości, jak ekran w sali kinowej. Kolory były zszarzałe. Widok ten pojawiał się za każdym razem, ilekroć pomyślałam o powrocie.

Ponownie odwróciłam się ku cudownej krainie. Uczucie fascynacji nie opuszczało mnie. Nadal jednak trwała szarpanina myśli: żyję, czy nie żyję? Bałam się, że jeżeli dotrę za daleko, nie będzie już odwrotu. Jednocześnie żal mi było porzucić taki *cud przyrody.*

Pod wpływem przemożnego pragnienia namalowania tego wszystkiego, aby również inni poznali świat, w jakim się znajdowałam, postanowiłam powrócić. Wówczas jakaś siła zatrzymała mnie (czułam ją fizycznie na karku) i przeprowadziła przez szklisto-błękitną taflę przypominającą lód. Działo się to wbrew mojej woli. Tafla nie rozwierała się, nie marszczyła. Przenikałam przez nią jak przez ścianę z galarety. Teraz już nie obserwowałam tej niezwyklej rajskiej krainy – **ja tam byłam.** Mogłam pójść, gdzie chciałam, wszystkiego dotknąć. Dokładnie przyglądałam się każdemu szczegółowi.

Na horyzoncie wyłaniała się *światłość*, której promienie rozpraszały się ku górze. W zasięgu mojej ręki pojawiła się tęcza, półokrągła jak na Ziemi. Miała te same kolory: żółty, niebieski, czerwony. Od mojej strony szeroka – ku horyzontowi zwężała się. Na Ziemi tęcza zapowiada pogodę i świeżość powietrza. A tu?

– *To zbiór podstawowych energii o różnej mocy i działaniu, każda ujawnia się jako inna barwa* – pojawiła się myśl.

Ta wędrówka po *rajskiej krainie* dawała mi nie tylko radość. Była też nauką oraz egzaminem własnej osobowości.

Szłam dalej. Zainteresowały mnie kwiaty. Najwięcej było czerwonych tulipanów. Zatrzymałam się nad jednym z nich i przyglądałam mu się czule. Zaskoczyło mnie, że mogę z nim porozumiewać się telepatycz-

nie. Miał swoją osobowość; **mówił mi o sobie**. Zaskoczona zwróciłam się ku następnemu i ... **Wszystkie do mnie mówiły**. Miały swoje pragnienia i problemy, jak człowiek walczący o przetrwanie. Przeraziłam się, że depczę te żywe istoty. Spojrzałam pod nogi, jednak skonstatowałam, że stąpając nie czynię im krzywdy. Zrozumiałam, że tu, gdzie jestem, każdy element, każda istota jest równie ważna, **wszystko stanowi jednakową wartość**. Jakby w nagrodę za te myśli otrzymałam piękną białą szatę, a do mojej podświadomości dotarło zdanie: *Możesz sobie wybrać drogę i dalej nią podążać*.

Mogłam zatem pójść ku promieniom światła lub powrócić do ciała. Zwyciężyło wcześniejsze pragnienie. Z wielkim żalem wzniosłam się ponad cudowną krainą. W locie często jeszcze się ku niej odwracałam. Powoli oddalała się.

Przestrzeń wokół mnie z niebieskiej stała się granatowa. Spostrzegłam przy sobie formę podobną do człowieka. Od Zjawy emanowała dobroć. Przekazała mi telepatycznie: *Nie lękaj się. Moja obecność nie służy niczemu złemu. Możesz ze mną rozmawiać. Udzielę Ci odpowiedzi na pytania, które zadasz. Jeśli zechcesz zawrócić, to mi powiedz*.

Zaczęłyśmy „rozmawiać” myślami. Ta Zjawa była moim spowiednikiem, przewodnikiem, nauczycielem, a zarazem przyjacielem. Reagowała nawet na moje zwątpienia. Zastanawiałam się, czy na pewno jest dobra.

Nakłoniła mnie do opowieści o sobie. Ujawniałam wszystkie sekrety mojego życia, dobre i złe. Gdy chciałam coś zataić, natychmiast widziałam, że o tym wie. Od tej pory nie bałam się mówić o wszystkim, co uważałam za złe w moim życiu. Zrozumiałam, że Zjawa postępuje jak prawdziwy przyjaciel. Nie karze, lecz poucza i objaśnia; wskazuje błędy, podpowiada jak być krytycznym wobec siebie samego.

W pewnej chwili wypaliłam: *Ja się do nieba nie nadaję, gdyż nie chodzę do kościoła na mszę, choć jestem katoliczką*. Na to świetlista istota odparła: *Kościół, jak każde inne miejsce na Ziemi, jest zbudowany przez człowieka. Jeżeli wierzysz w Boga, wystarczy usiąść na kamieniu nawet przy drodze, by się do niego pomodlić*.

Tak omówiliśmy wszystkie uczynki, które mnie bolały. Film wspomnień przepływał bardzo szybko, a kadry zatrzymywały się tylko w momentach szczególnych, abym sama wyciągnęła z nich wnioski. Zrozumiałam, że jeżeli Dusza nie potrafi być krytyczna, gdyż została

wychowana w egoizmie, to świetlista istota zmienia jej kierunek myśli. Potem Zjawa mówiła jeszcze o podstawach istnienia i zachowaniu czystości ducha.

Szybowałyśmy przez Kosmos, mijając świetliste punkty, nie dające jednak blasku. W pewnym momencie zapragnęłam zobaczyć z góry Ziemię. Skierowałyśmy się ku niej. Widziałam ją jak z satelity; przyglądałam się barwom. I wtedy zadałam Zjawie pytanie: *Czy Ziemi grozi zagłada? Ziemia, jak wszystkie organiczne twory we Wszechświecie, ma swój okres istnienia. Od człowieka jednak zależy jak długo będzie żyła, choć nie człowiek ją zabije – brzmiała odpowiedź. – Człowiek będzie ją niszczył, ona będzie się odradzała, lecz jej energia będzie słabnąć.* Istota mówiła jeszcze wiele na ten temat, ale było to dla mnie bardzo trudne, gdyż przerastało moją wiedzę o Kosmosie.

W pewnej chwili zbliżyłyśmy się do jakiejś różowej materii, która bardzo mnie zaintrygowała. Zjawa jednak zatrzymała się i ostrzegła: *Nie leć tam!* Poczułam zagrożenie; obawę, że coś wciągnie mnie w tę różową otchłań. Przestraszona – zapragnęłam wreszcie powrócić do ciała. Znalazłam się w czarnym tunelu. Zjawy już nie było...

Otworzyłam oczy. Pozostając jeszcze w szoku, zobaczyłam lekarzy i salę z łózkami. Leżałam na jednym z nich. Przy mnie stały cztery osoby. Nagle zapytałam: *Gdzie ja jestem? Gdzie ta kraina?* I poczerwieniałam ze wstydu, co sobie o mnie pomyślą. Jeden z lekarzy nawet się roześmiał. Przyłożyłam głowę do poduszki...

Tak skończyła się moja śmierć kliniczna i wędrówka poza ciałem. Dzięki temu wiem, że ludzie, którzy ją przeżyli, są normalni (nie chorzy psychicznie). Pozornie w niczym nie odróżniają się od tłumu, powrócili natomiast *stamtąd* z wielkim bagażem przeżyć i odczuć, które nie zawsze mieszczą się w utartych schematach. Wiem też jedno: że w czasie tej wędrówki zdobyłam więcej wiedzy, więcej nauczyłam się i zrozumiałam niż przez całe wcześniejsze życie.

**Alicja Ziętek
Komorów**

Relacja ta stanowi opracowaną przez nas kwintesencję ok. 60-stronicowego pamiętnika Alicji Ziętek. Jego autorka jest malarką. W swoich obrazach prze-